



Pismo miesięczne z obrazkami

— wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. —

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorażczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

Cud na roli. 9



Było to w samym początku września. Łagodnie przygrzewało popołudniowe słońce i oświecało swymi promieniami ścierniska, wśród których tu i ówdzie czerniały jeszcze półka ziemniaków z zeschniętymi badyłami, albo świeżo zaorane chłopskie półtanki. Tam oto pstrokate stado swojskich gołębi poszukuje żeru, a tu znów porywa się para dzikich, bije mocno w skrzydła i odlatuje szybko ku lasowi. Już się przepiórki nie wabiają, głosu derkacza nie słychać, tylko skowronkowi słońce przypomina czasem powołanie śpiewaka niwy; więc wzlata w górę, zanuci, ale w połowie pieśń urywa i na ziemię spada. Motyle się błąkają, jakby jakie niedobitki. Niekiedy mysz polna z nory na wierzch się wysunie, czarnymi oczkami na

świat popatrzy, zgryzie znalezione ziarnko, i, bodaj wietrzyk zaszumił w ścierni, ona już znika pod ziemią. Pod górką zając wykopał sobie kotlinę, legł w niej, do ziemi się przytulił, położył słuchy na grzbiecie i marzy. Stadko kuropatw znowu rozgrzebało ziemię w bródzie: jedne przycupnęły, oczy mrużą, drzemią, inne skrzydłami trzepocą w pyle. Zdaleka widać chłopskiego psa, który się ze wsi wybrał w pole, chodzi, niekiedy przystanie i po okolicy się czegoś rozgląda.

Poprzez te niwy biegnie droga od wsi i gdzieś w lasach szlak jej znika. Przy drodze widać drzewa: jarzębinę, lipy, topole i wierzby, liście na tych drzewach w połowie pożółkły, a w połowie jakaś rdza na nie padła. Jest tutaj jedna bardzo stara wierzba; wyraźnie widać, że o nią sobie boki i grzbiety wyciera bydło, powracające z paszy; na

wierzbie znajduje się trójkątny daszek z dzwoneczkami, a pod daszkiem — obrazek z Częstochowską.

Po obu stronach drogi są rowy niezbyt głębokie, a za rowami w prawo i w lewo — chłopskie pola. Ta droga stanowi pas graniczny dwóch wsi: Kozanowa i Ropczyc. Do wierzby z obrazkiem przylegało pole Wicka Biernata z Kozanowa, a zaraz naprzeciwko za drogą leżał grunt Marcina Schwały z Ropczyc. Cały Kozanów djabła wart, jako ziemia orna; ale w całym znowu Kozanowie — najgorsza rola Biernata. Kiedy rok suchy wypadnie, to jeszcze jako tako połatać można; zdarza się nieraz jednak rok po roku mokry, i to kilka lat z rzędu. Niema się wtedy po co schylać na Biernatowej niwie. Cóż z tego, że chłop, jak wół pracuje, że zaorze corocznie, obsieje? Bieda go tłucze i tłucze. A wszystko to robi woda!

Tak i w roku przeszłym, Biernat rozrucił nawóz, doprawił ziemię. ile się dało: przyszły roztopy, woda zabrała co lepsze na jego gruncie i przeniosła to z wyzynki na płaskie pole Marcina Schwały. Biernat dobrze miarkował, co się święci; ale nie stać go było na to, żeby rowy należyście pogłębić na znacznej przestrzeni i od wody się zabezpieczyć właściwie.

Spotyka on raz Schwałę na odpuszcie i powiada:

— Marcinie, wy ze mnie żyjecie; woda mi oto zabiera bogactwo i do was je niesie.

— Ha, wiadomo, woda od tego, żeby jednemu zabrać, a dać drugiemu — odrzekł Schwałę.

Otóż, z roku na rok rola Schwałowa stawała się ogrodem, a Biernatowa niwa precz jałowiała.

Teraz właśnie zaorał był jeszcze przed świętym Bartłomiejem, ale, jako podupadły gospodarz, nie miał na siew żyta. Ziemia się zeschła, przyszło mu drugi raz w niej robić, a ciągle się w głowę drapał, z kądem wziąć zboża do siewu. W jedną chudą szkapę orał; koń stękał, on się pocił, a ilekroć z pługiem dotarł blisko wierzby z obrazkiem, zdejmował kapelusz i ciężko wzdychał.

— Wio, mały, wio! — wołał na gniadego konia — co będzie, to będzie, a zaorać zawdy trzeba!

Biernat orał aż do samego zmroku. Słońce zaszło, a on jeszcze orał.

W tem spojrzy na drogę, a tu jak raz jedzie na koniu Schwałę. Przyszło na myśl Biernatowi, że może sam właśnie Pan Bóg dobrego człowieka zsyła. Kto wie, czyby Marcin nie pożyczył na siew parę ćwiartek

żyta. Biernat zostawił na roli konia z pługiem, a sam poskoczył ku drodze i wdał się w rozmowę z przejeżdżnym, bez żadnej ogródki rzekłszy:

— Marcinie, użyczycie mi pół korczyk żyta? Z nowego wam oddam, a za czekanie ćwiartkę nadmierzę.

— Ej, gadacie! Żyto teraz dobrze płaci, a na przyszły rok, Bóg wie, co będzie... Nie możecie to we własnej swojej wsi pożyczyć, tylo aż na za granicę skomlecie?... Ja też sam mam nie wiele; jak jutro, da Bóg, doczekać, swoją rolę obsieję, to mi ledwie zostanie na chleb i na zacierkę.

Rozumie się, że Schwałę nie mówił prawdy, bo miał duże zapasy zboża. Na prośbę Biernata nie zwracał wcale uwagi, tylko się jakoś pilnie rozglądał po rowach.

— O, dla Boga! — powiada — jaka też to tu trawa urosła, piękna, galanta, prawie po kolana! Ho, ho, popasę sobie szkapę!

To tylko rzekł, zeskoczył z konia i jeść mu pozwolił, a ciągle powtarzał:

— No, no, co za trawa! Smaczna musi, bo koń tnie setnie...

Biernat skinął głową, pożegnał Marcina i wrócił do swojego pługa, a głowa mu omała nie pękła, gdy pomyślał: z kądem tu wziąć żyta do siewu?

Schwałę tymczasem podpał swego konia, potem rażno nań wskoczył i ruszył ku Ropczycom. Jak tylko wrócił do domu, zaraz się spotkał w obejściu z synem swoim, Stachem, i rzekł:

— Wiesz ty, Stachu, tam, przy drodze, od Kozanowa, gdzie wierzba z obrazem Matki Boskiej, okrutna trawa rośnie, i widać koniom ogromnie lubuje, bom puścił w nią siwego, to się odjeść nie mógł! Zabierz oto dziś nasze szkapy i popasaj tam od północka choćby do samego świtania!

— Jaceście wy to, tatusiu, spenetrowali! — odrzeknie Stach. — I ja także, jakem kejsik orał, zmiarkowałem to samo.

Biernat dokończył swojej orki, zjechał z pola i późnym wieczorem smutny do domu powrócił.

— I po co ja orał? — mówił sam do siebie — zasiać czem niema, stracona robota.

Wyprzągł gniadego, narznął mu sieczki, nasypał w żłób, posłał w stajence i patrzył, jak koń zajada. Potem znowu napał szkapę, dosypał jeszcze sieczki do żłobu, a ciągle myślał:

— Czem ja zasieję, czem ja zasieję?

Zabrał się poszedł do izby. Tutaj na nalepie płonął ogień, uwijała się rażno Bier-

natowa, a córka, Łucka, siedziała na ławie i przędła.

Wicek usiadł sobie w cieniu i oddał się medytacji. Płomień buchnął do góry, trzaskające iskry padały na środek izby i woń warzy czuć było dokoła. Nareszcie baba odcedziła kartofle, wyłożyła je z garnka na miskę, wzięła z łyżnika trzy łyżki, przyniosła z komory garnek zsiadłego mleka i postawiła to wszystko przed mężem. Łucka też odstawiła wrzeciono i kądziel i zasiadła do wieczery wraz z rodzicami.

— Wikta, obeszlabyś się ty w chałupie jakiś czas bez krowy? — spytał Wicek, biorąc do ręki łyżkę.

— Gdzieżbym się znowu obejść mogła! Zkąd ci nawet do głowy przychodzi takie pytanie?... Co za gospodarstwo w chałupie może być bez bydłęcia? — mówiła Biernatowa.

— Bo jak nie — rzecze Biernat — to nas okrutna bieda czeka. Wiesz ty, kobieto, że ja żyta na siew nie mogę nigdzie pożyczyc? Cóż będzie? Zimna chwycą... Zabrałbym jutro Brzezulę do miasta, choć to nie jarmark; rzeźnicy mi za nią i tak dobrze zapłacą, bo bydłę tłuste. Kupię parę ówiartek żyta, a za resztę na przyszły tydzień będzie inna krowina. Jakże myślisz? Nie będzie nic złego!

— Wolałabym już, żebyś sprzedał krasą jałówkę — odpowiada Wikta — bo mi się serce kraje, kiej pomyślę, że Brzezuli wyzbyć się trzeba; krowisko takie dobre, cnoiliwe.

— Jałówki za nic nie sprzedam, młoda i z mego własnego przychówku, a Brzezula i tak za rok, za dwa będzie do niczego, krowa stara, ledwie już łązi...

— Zrobisz, jak chcesz, bo twoja wola górą w chałupie; próżnobyć się o to upierała, jeno mię żalność za serce chwyta, że już dobrego bydłęcia nie można utrzymać przy domu.

To rzekłszy, Biernatowa westchnęła głęboko.

Łucka wysłuchiwała rozmowy rodziców; naraz rzuciła łyżkę: idzie do swojej kądzieli, szlocha i zapaską oczy ociera.

— Czego ta głupia znowu tak sapie? — pyta ojciec.

— Będę się może śmiała, kiej wam się zachciało Brzezulę sprzedać! — odrzekła dziewczyna. — Tyle lat pasalam bydłę, to niechże mam wolność teraz choć zapłakać nad jego niedolą... Stworzenie takie dobre, od drugiego człowieka lepsze!

Oboje Biernatowie spali już twardo, ogień gasł na nalepie i z żarzących się węgli rzucał ostatnie promienie, oświetlając spokojną izbę chłopską. Błask tych węgli, niby gwiazdki, mdło się odbijał w małych okienkach chaty.

Łucka ukończyła nareszcie sprzątanie statków i klękła do modlitwy. Złożyła obie dłonie, wyciągnęła je ku obrazowi Matki Boskiej, około którego widać było umajenie ze zwiedłych gałązek bożego drzewka i z nogietków. Łucka się modliła, a jak w myślach jej ojca nieustannie występowało wyobrażenie dwóch ćwiartek żyta, tak jej znowu mimowoli narzucała się stara Brzezula, którą Biernat miał nazajutrz popędzić do miasta i sprzedać rzeźnikom. Ale zapal modlitwy osłabł widać u spracowanej dziewczyny; niespodziewanie ogarnęła ją senność. Opadły jej wzniesione ręce, wsparły się na ławie, za przykładem rąk poszła głowa, zdobna ciemnym warkoczem, i Biernatówna zasnęła w klęczącej postawie.

Cała rzeczywistość przedstawiła się teraz Łuccie inaczej, niż to miało miejsce na jawie. Anioł snu przeniósł dziewczynę na zaoraną, lecz nie zasianą niwę ojca; na świecie zieleniło się wszystko dokoła; skowronki gromadami bujały w powietrzu i śpiewy ich brzmiały nieustannie. Ojcowska rola tylko była czarna, ponura, niezasiana! Widziała ona, że ojciec wałęsa się tu po zagonach i, schylony ku ziemi, upatruje, czy żyto nie wschodzi: ale ani jeden kieltek nie puszczał z owej niwy. Oprócz tego w sennem marzeniu ukazała się Łuccie Brzezula, z krasą jałówką chodziła krowa około rowu i porykiwała żałośnie. Dziewczyna wzniosła oczy i spostrzegła na starej wierzbie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; pochyliła się, ukłękła. Dzwoneczki w daszku zaczęły brzęczeć; ona się modliła gorąco, było jej dobrze, uczuła w duszy wielką ulgę. Coraz raźniejsze dzwonięcie rozlegało się, tworząc muzykę istic anielską, jak gdy w kościele śpiewają: »Ciebie, Boże, chwylimy«. Łucka odwróciła głowę w stronę ojcowskiej roli i ujrzała cud nadzwyczajny: w oczach jej oto zaczęło wychodzić z ziemi jedno piórko oziminy za drugim i rośło, rośło... Niwa zazieleniła się murawą młodego żyta, po którym wietrzyk przebiegał i szumiął.

Już się ocknęła Biernatowa, a jeszcze w uszach brzmiała jej melodia muzyki tych dzwoneczków. Spojrzała w obraz Matki Boskiej, wiszący na ścianie izby; właśnie ostatni błysk węgli, rozżarzonych na nalepie,

mignął i oświecił lica świętego wizerunku. Wydawało się dziewczynie, że Bogarodzica rękę wyciągnęła w kierunku ojcowskiej niwy. Trwoga ją więc dawna ogarnęła, zabiło serce; jej się zdawało, że stoi oto przed tronem bożym, że błaga o miłosierdzie dla niezasianej roli, dla Brzezuli.

Poczuła w sobie dziwne natchnienie, jakąś pewność, że niebiosy cud dla niej uczynić mogą. Wybiegła żwawo z chaty i przez pola szła nocą ku roli ojca, ku wierzbie z obrazem Marji.

Po co ona tam poszła?...

Dok. nast.

Adolf Dygasiński.



Jaszków sen.

*Śniło mi się na zorzę,
Na samiutkie świtanie,
Że po łąkach szedł anioł
W prostej, zgrzebnej sukmanie.*

*A miał nogi on bosc,
Na kosczi len szary.
A okrutną niósł kosę,
I z grabliskiem do pary.*

*Jak najteższy dąb w lesie,
Taką ci miał urodę,
I zahuczał, jak wichur:
„Będziem mieli pogodę“.*

*I tak przeszedł przez pola,
Jak ta jasność, co błyska,
A precz wołał hu chatom:
— „A wstawajcie, ludziska!“*

*I wsiąknęli w tę cichość,
W jutrenkowe to granie...
A sen miałem na zorzę,
Na samiutkie świtanie.*

*Aż tu kupa narodu
Na gościniec się wali...
Ja za kosę ze ścianą,
Kosa złotem się pali. —*

*— A co kosić będziewa? —
Pyta jeden, to drugi,
— Czy ten łązek pod lasem?
Czy ten spłacheć od strugi?*

*A on precz nas prowadzi
Prościusiętko na słońce,
Co już weszło nad ziemię,
W złotych zorzach grające.*

*Aż w tę jasność, w tę złotą
Poszedł naród ów cały,
Tylko krzywe się kosy,
W owym błaszu migały.*

M. Konopnicka.





Kościół na „Skalce” w Krakowie, gdzie znajdują się groby zasłużonych i gdzie obecnie ustawiono pomnik ks. Kordeckiego.



ADOLF DYGASIŃSKI.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.)

Ze smutną wieścią przychodzę do Was, drodzy Czytelnicy, bo z wieścią o śmierci dobrego człowieka. Dnia 3. czerwca b. r. zmarł w zakładzie dla chorych koło Warszawy Adolf Dygasiński, przeacny obywatel, znakomity pisarz.

Szlachetne serce zmarłego miłowało gorąco ojczyznę, biło żywym współczuciem dla rodaków, a zwłaszcza dla tych, którym życie było twardą macochą, godzi się więc i nam rzucić na świeżą jego mogiłę krótkie choćby słowo wspomnienia, niby zielony listek pamięci serdecznej.

Adolf Dygasiński urodził się w r. 1839 w Niegosławicach, w Królestwie Polskiem. Ukończywszy szkołę realną w Kielcach, uczęszczał przez lat kilka do Szkoły Głównej w Warszawie. Po wybuchu powstania 1863 r. pospieszył w szeregi narodowe i brał czynny udział w kilku walkach w oddziale Chmielińskiego. Wzięty do niewoli, uciekł z więzienia wojskowego pod Kielcami i przedostał się do Krakowa, skąd niebawem wyjechał do Pragi i skończył na tamtejszym uniwersytecie nauki. Około r. 1872 przybył do Krakowa i nabył tam księgarnię, oraz założył pensjonat. Pomimo zapobiegliwości, jaką początkowo rozwijał, wydając liczny poczet dzieł naukowych. Przedsiębiorstwo księgarskie mu się nie powiodło. Opuściwszy Kraków, powrócił do Warszawy, gdzie zaczął pracować w zawodzie pedagogicznym, jako nauczyciel w kilku pensjonatach żeńskich, a następnie kierownik wychowania domowego w różnych domach obywatelskich na prowincji. Równocześnie rozpoczął zawód literacki i zwrócił odrazu na siebie uwagę szeregiem doskonałych artykułów o wychowaniu i szkole, które mu niebawem utorowały drogę do stanowiska redaktora »Przeglądu Pedagogicznego«. Obok artykułów pedagogiczno-społecznych i książek, pisanych dla dzieci, spożytkowywać zaczął spostrzeżenia, poro-

bione w ciągu życia nad ludem wiejskim w formie powieściowej, a pierwsze już w tym kierunku próby dały poznać w Dygasińskim pierwszorzędnego talentu powieściopisarza.

Gorąco niedoli ludu wiejskiego współczujące serce popchnęło Dygasińskiego w r. 1892 do Brazylii, gdzie pragnął zbadać położenie naszych emigrantów i warunki ich życia. Plon swych spostrzeżeń złożył w »Listach« sprawozdawczych, oraz powieści »Na złamanie karku« i w powiastce ludowej pt. »Opowiadanie Kuby Cieluchowskiego o emigracji do Brazylii«.

Pozostawił po sobie nadto oprócz kilkuset artykułów z zakresu pedagogji, około stu tomów nowel i powieści. Do najcenniejszych należą: »Nowele« z życia zwierząt, »Wilk, psy i ludzie«, »W puszczy«, »Z psiarni, pola i knieji«, »As«, »Gorzalka«, »Pióro«, »Margiela i Margielka«, »Pan Jędrzej Piszczalski«, »W Kielcach«, »Niezdara«, »Beldonek« i wiele innych.

Wyteżająca praca wyczerpała wreszcie siły żywotne zasłużonego męża. Do ostatniej jednak chwili, pomimo cierpień fizycznych i zawodów moralnych, nie przestał kochać ludzi i życia, a w ostatniej swej książce, pod tytułem »Gody życia«, która jest jakby jego testamentem, wznosi hymn serdeczny na cześć wzystkiego, co się znajduje w świecie, a więc i na cześć cierpienia. — Kto do zgonu nie zaznał niedoli — mówi tam — kto nie wie, że jedna połowa życia jest szczęściem, druga — cierpieniem, a obie przechodzą w wieczność i zostawiają po sobie światu księgę dziejów, że na tej ziemi cierpieć, jak i kochać, jest koniecznością nieuchronną, — ten nie ma miary dla wartości życia, ten i o szczęściu wie niewiele. »Szczęście samoluba jest małe, niskie, wystarczające tylko temu, kto ma drogę zapartą do współczucia w doli i niedoli ze światem szerokim«. Nic to nie zna-

czy, że złe przypadki, nieszczęścia chodzą po świecie. »Trzeba nieraz zgiąć, aby innym utorować drogę do zwycięstwa, umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość. Umiesz kochać, umieć walczyć, cierpieć i umrzeć! Byt doczesny bez tego przykazania byłby marny, pozbawiony uroków wiary i nadziei«, bo szczęście prawdziwie wielkie leży po za granicami samolubstwa i dobrze jest żyć — nawet w cierpieniach niedoli, gdyż »wielka boleść, każda walka dodają życiu zacności i czynią je dopiero pięknem«.

A w innym ustępie tej książki sławi w takich oto wspaniałych słowach siły przyrody: ogień i wodę:

»Świeć i świeć się. Ogniu boski, żywy, czysty, w słońcu, gwiazdach niebios, w zanadrach ziemi, w błyskawicach obłoków, w płomieniach ognisk domowych, w żarach i iskrach świętych nieśmiertelnego życia ducha!

»Cześć ci. Wodo żywa, czysta, któraś jest w morzu, rzekach, strumieniach, źró-

dłach, w chmurach, w łzach żywnych, dających ulgę niedoli, w łzach skruchy szczerzej i żalu rzewnego, oczyszczających wszelką duszę z brudu samolubstwa!

»Ogniu ojcie, płoń i zapalaj wielkie pragnienie życia, świeć na ołtarzach serc naszych, wybuchaj płomieniami miłości, pozoga obróć w nicość sobkostwo, uszlachetnij zapałem wszechstworzenie!

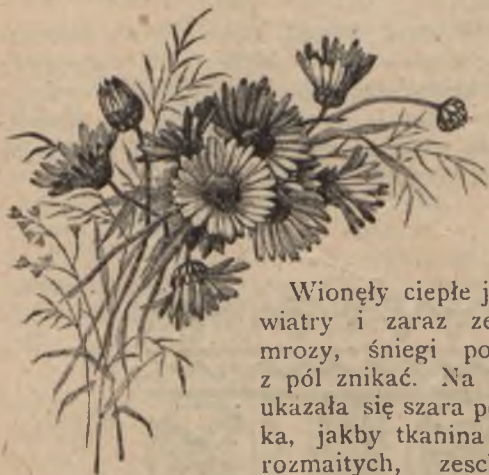
»Wodo, matko, daj płodność niwom naszym, krzep i orzeźwiał spragnionych, gaś pożary, straszne zniszczenia, zalewaj łzami przebaczenia pozogę nienawiści i wróždy«!

Pragnąc zapoznać Czytelników swoich choćby najpobieżniej ze sposobem pisania zmarłego autora, »Zorza« podaje w dzisiejszym numerze początek jego powiatki z życia ludu, pod tytułem »Cud na roli« — tudzież opowiadanie o skowronkach. A trzeba wiedzieć, że, jako malarz zwyczajów i życia zwierząt, Dygasiński nie miał sobie równego nietylko u nas, w Polsce, ale i w żadnym kraju.



SKOWRONKI.

(Ustęp z opowiadania pod tytułem: »P taki«).



Wionęły ciepłe jakieś wiatry i zaraz zelżały mrozy, śniegi poczęły z pól znikać. Na ziemi ukazała się szara powłoka, jakby tkanina traw rozmaitych, zeschniętych

jeszcze na jesieni, a może i przemarzłych pod śniegową skorupą. Tu i ówdzie na drzewach, krzakach, chrzęszcząc trząst się od wiatru suchy przeszłoroczny listek, co prze-

trwał porę jesiennych wichrów i ulew, zimowych zawiei i nie odpadł.

Już w końcu lutego, nieraz od rana, pogodnie przyświecało słońce. Pod ścianami chat zasiadały gromadki chłopskich dzieci i wygrzewały się razem z kurami, prosiętami, psami.

— Chwała Panu Bogu, toć i po zimie.

— Ej, kto tam wie, co jeszcze być może.

Powtarzali naprzemian ludzie.

Zaledwie nadszedł marzec, a już i muchy zjawyły się w chałupach, wróble cierkały ciągle na podwórkach, po sadach odzywały się sikorki i trznadle, motyl nie stanowił już rzadkości.

Jasno i ciepło na Bożym świecie; choć się komu i jeść chce, jakoś łatwiej to się przeniesie.

Słychać nieustannie opowiadania o jakiejś, coraz to nowej oznace nadchodzącej wiosny. Jeden mówi, że widział bociana, inny — sznur przelatujących dzikich gęsi, to znowu skowronka, z pieśnią wzlatującego w błękitny.

Na rzekach puściły lody. Kry, wirując, płynęły jedna za drugą, docierały do różnych przystani i gromadziły się tam tłumnie; słychać było ich trzask, szum, gdy tarły o brzegi, gdy się spotykały ze sobą. Niektóre w szalonym tańcu rwały z prądem rzeki, niosąc na swoim grzbiecie piramidy kryształów lodowych, które, jak brylanty, jaśniały w słońcu.

Woda przybierała dosyć łagodnie i zalewała niektóre niziny.

Jednego dnia przyleciała gromadka skowronków. Śpieszyły skądś od południa górą ponad łąkami, błoniami, a rozpiezchały się nieustannie, rozbijały się na pary. Właśnie jedna para tych ptaków poszukuje sobie oto siedziby: leciały one ponad ciemnymi borami, aż wreszcie spostrzegły szmat ziemi — nowisko, zasiane żytem. Jeszcze tu i ówdzie porastała tam sośnina, krzak jałowcu, czerniał pieńek ściętego drzewa, widniał uschły liść paproci.

I na tę zaciszną niwkę rzuciły się skowronki. Woda świeciła tam jeszcze w brzdach i tylko na grzbiecie zagona można było przycupnąć, wypocząć.

Radośnie trzepocąc skrzydełkami, wlatują w górę skowronki, śpiewają pobożnie i wznoszą się coraz wyżej, wyżej. Popod niemi rozpościerają się prawdziwie pańskie posiadłości.

Szarego śpiewaka oblała w górze jasność słoneczna — zrobił się z niego taki jaśnie wielmożny pan, że chłop na polu ciągle zdejmuje z głowy czapkę.

Tam oto, nad urwistym brzegiem rzeki, leży wioska ubożuchna; woda ją całkiem podmywa i wkrótce zabierze ze sobą te liche chaty z gliny, ze słomy. Dalej widać drugie, trzecie, dziesiąte sioło: w jednym

chałupy się wała, w innym zapadają się w ziemię, gdzieindziej zgłiszczą po niedawnej połodze. A co tam chat samotnych, rozrzuconych w polach i lasach! Wszędzie szare strzechy zielonym mchem porośłe, wszędzie ściany świecą szparami, kominy błękitny dym wysyłają w niebiosa.

Na zagonach pracują ludzie: sieją, sadzą, kopią, orzą. Inni znowu, strwożeni, uchodzą ze wsi z bydłem, z całym dobytkiem, bo im oto powódź zagraża.

W małych czółenkach tu i ówdzie płyną rybacy i w mętną wodę zapuszczają sieci.

Z głębi lasów słychać odgłosy uderzeń ciężkich toporów, pod którymi padają wiekowe dęby i sosny. Warczą piły tartaków, szum skrzydeł wiatraków się rozlega i huk młynów wodnych.

Widać trakt biały, bity, obsadzony wierzbami i brzożami: to się wyciąga pod górę, to znowu w dół opada i znika gdzieś daleko, a z nim, niby rzeki i strumienie, zlewają się liczne drogi drożki i ścieżyny.

Świecą się w słońcu pańskie białe dwory, krzyżami połyskują kościoły i cmentarze.

Tam oto spostrzeżasz ogromne dworskie łąny: jedne błotniste jeszcze, inne już zieleniejące od ozimin, od jarzyn młodziutkich. Gdzieindziej — kliny, paski i skrawki chłopskich pól, porozdzielanych miedzami.

Czasem daje się widzieć miasto, nawpół drewniane, nawpół murowane, a gdzieindziej na górach, wśród krzaków jałowcu, głogu, stoją w gruzach ruiny starożytnego zamku.

Po przez błonia, łąki żółtych kaczeńców, wiją się rzeki błękitnymi wstęgami; ich brzegi świecą się piaszczystymi wydmi, to znów je umały wilgotne gaje olszyn, zarośla wikliny, albo jeziorzyska z wysoką trzciną, gęstem sitowiem...

Adolf Dygasiński.



Wspomnienie z dni minionych.

Straszny był to dzień dla miasta Lwowa, dzień 26. września r. 1648: dźwięki dzwonów, hasło trwogi dające, zbudziły mieszkańców jego o samym brzasku dnia. Kto tylko mógł, ten przydziawszy się pospiesznie, wybiegł na ulicę pytać, co znaczy to hasło; lecz pytać nie trzeba było: ulicą tłoczyło się rycerstwo polskie, szło w najwyższym nieładzie, w nieporządku, zamieszaniu, gnane widocznie strachem.

— Kozacy idą za nami — wołali żołnierze — uciekajcie, ratujcie się, za godzin parę najdalej będą tutaj!

Krzyki i szlochania rozległy się w całym mieście w odpowiedzi na tę przestrożę; wiedzieli Lwowianie, że Kozacy chwycili za broń, że wojnę wypowiedzieli Rzeczypospolitej, że oderwać się od niej postanowili; słyszeli, że nieludzko obchodzą się z pokonanymi, że gdy jaki gród zdobędą, to mordują wszystkich... palą, rabują i niszczą wszystko.. Niedziw, iż trwoga ogarnęła ich na wiadomość, że ów straszny nieprzyjaciel ku nim się zbliża: mężczyźni na znak rozpaczdarli suknie na sobie, kobiety ręce łamały, lub biegly do kościołów wzywać pomocy Pana Wszechrzeczy... Tymczasem ulice Lwowa coraz bardziej się zapełniały zbiegłym rycerstwem; uciekli oni z pod Pilawiec, gdzie wystraszyli ich Tatarzy, którzy przyszli w pomoc Kozakom. Za biegnącymi w nieładzie żołnierzami ciągnęły wyładowane wozy, za wozami wodzowie w kołach, pyłem i błotem okrytych, ci spojrzeć na lud nie śmieli, siedzieli ze spuszczeni oczyma, a lud z wymówką na nich spoglądał.. Uciszyło się wreszcie, opustoszały ulice, zbiegłe rycerstwo spoczęło w gospodach miasta Lwowa, wodzowie w pałacu arcybiskupa; mieszczenie pogawędziwszy o smutnej porażce, rozeszli się do domów, lecz kilku wysłali z prośbą do wodzów, by ratowali zagrożone miasto. Nie pomyślą wszakże posłowie braciom odpowiedź przynieśli, widzieli się z jednym z dowódców, który im rzekł:

— Wszystko stracone, jeden Bóg pomódz wam może, my nie jesteśmy w stanie, nie mamy broni, nie mamy pieniędzy, nie mamy czem walczyć! Zdajcie się na łaskę nieprzyjaciela, to moja rada.

Głuche milczenie rządu zapanowało po tej odpowiedzi wśród posłów, poczem jeden, podniósłszy czoło, rzekł:

— Nie wydamy za nic miasta naszego wrogom, obronić je musim!

Dwa dni minęło, dni pełnych niepokoju i trwogi. Nieprzyjaciel nie ukazał się jeszcze, lecz wieści chodziły, iż ciągnie powoli ku miastu, że lada chwila stanie pod Lwowem, olbrzymi, potężny, straszny. W kościele OO. Bernardynów zasiedli wodzowie rozbitych hufców: książę Jeremi Wiśniowiecki, Ostro-róg, Radziejowski, Wessel, Myszkowski, Łaszcz, z nimi pułkownicy, rycerze, około 3.000 zebrało się tutaj i radzili, co czynić w tej niedoli. Wistocie rycerstwo nie miało dostatecznie broni, amunicji, dział, pieniędzy, utraciło wszystko w ucieczce...

Wtem gdy tak radzą i nie widzą innego sposobu, jak oddać Lwów Kozakom, gdy większość prawie ten smutny wyrok na nieszczęsnie miasto wydała, drzwi kościoła, w którym rada była zebrała, rozwarły się na oścież i w progu ich trzy niewiasty stanęły. Jedna, w szatach żałobnych, była to Katarzyna Słomińska, mieszkanka Lwowa; dwie inne — mniszki z miejscowego klasztoru Karmelitanek — wszystkie trzy dźwigały jakieś skrzynki. Pokłoniwszy się radzie z godnością, niewiasty owe wolno, poważnie zbliżyły się do stołu, przy którym panowie siedzieli, poczem Katarzyna Słomińska pierwsza postawiła swą skrzynkę u nóg księcia i rzekła:

— Składam mój posąg na obronę ojczyzny: za klejnoty i pieniądze w tej skrzyni zawarte, kupcie panowie broń i walczcie dalej.

Zaledwie skończyła mówić, zbliżyły się do księcia zakonnice.

— Z klasztoru Karmelitanek jesteśmy — rzekły — co klasztor posiada, to składamy u nóg twych, książę; kup broń potrzebną i broń ojczyznę.

I kęłty wszystkie trzy i złożywszy ręce, wołały:

— Na Boga, na świętych patronów kraju naszego, na prochy ojców naszych zaklinamy cię, książę, stań na czele hufców zbrojnych, ratuj Lwów, ratuj Polskę!

Czyn ten szlachetny wprowadził w takie zdumienie zebranych panów, iż zrazu żaden słowa nie wymówił dopiero po chwili zdobyli się na podziękowanie. Otucha wstąpiła teraz w serca rycerzy, poczęli radzić energiczniej, postanowili opór stawić Kozakom, ogłosili hetmanem wojsk księcia Jere-

miego, Wiśniowieckiego. Niedosć natem: pociągnięci znacnym przykładem trzech niewiast, mieszkańcy Lwowa jeden za drugim znosili dary, każdy dawał, co miał, na co go stać było: ten srebro, tamten klejnoty, inny pieniądze; wyzawali się ze wszystkiego, ostatni grosz oddawali dla ojczyzny i zebrała się duża suma, około milion złotych w pieniądzech, a 300 tysięcy w kosztownościach. Wówczas Jeremi Wiśniowiecki, uzbroiwszy rycerstwo i odziewszy je świeżo, pospieszył

Łuny, które w kilka dni po wyjeździe Wiśniowieckiego zaczerwieńczyły niebo nad miastem, oznajmiły Lwowianom, iż Kozacy już blisko. Jakoż niebawem ci, co stali na wałach i na basztach zamkowych, ujrzeli ich. Przodem na białym koniu jechał Bohdan Chmielnicki, atamanem przez Kozaków uznany, w czapce futrzanej, przy której świeciła kita brylantowa, w płaszczu, sobolami podbitym, — za nim setki, krocie Tatarów i Kozaków.



Jan Biadko Dziadoń, góral ze wsi Olczy w Tatrach.

do Zamościa, który, mocno obwarowany, mógł pewniejszy daleko opór stawić Kozakom, niż Lwów; a szło nie o sam Lwów przecież, lecz o kraj cały.

Tymczasem mieszkańcy Lwowa przygotowali się na przyjęcie nieproszonych gości; jedni uzbroiwszy się, stanęli na wałach, opasujących miasto, inni zamknęli się w warownym zamku miasta, inni jeszcze w klasztorach OO. Bernardynów i Karmelitów opór stawić zamierzali.

Tłumy, uzbrojone w piki, szable i rusznice, rzuciły się ku wałom. Okrzyki: »Ura ho! i Ałłach«! biły o niebiosy. Próżno ci, co na wałach stali, ciskali na nich pniaki drzew, ostrokoły, pale, kamienie, które sobie zgromadzili na obronę miasta, próżno szablami bronili im przystępu, nie wstrzymali ich! po trupach bratnich pięły się na wały coraz nowe zastępy i dostały się w końcu po za nie, wpadli Kozacy na cmentarz, za wałami się znajdujący i mor-

dowali, kogo tylko spotkali; potem rzucili się na niewielki kościółek, koło cmentarza się wznoszący, gdzie garstka ludności się schroniła, wyłamali drzwi i dostawszy się do środka, rzeź rozpoczęli.

Chcąc utrudnić nieprzyjacielowi wstęp do samego miasta, mieszkańcy przedmieść Lwowa podpalili własne domy. Czerwone słupy ognia podniosły się w górę, iskry leciały deszczem siarczystym na ziemię, dym rozbijał się kłębami w powietrzu, trzask łamiących się belek, krzyki Kozaków i Tatarów, jęki mordowanych, wszystko to razem tworzyło obraz pełen grozy. Obraz ten powiędział Chmielnickiemu, iż mieszkańcy Lwowa nie tak łatwo ukorzą się przed nim, gdy z bronią w ręku zechce zdobywać miasto, postanowił przeto inną drogą dojść do celu...

Naraz ucichły działa nieprzyjacielskie, Kozacy i Tatarzy odstąpili od wałów, Lwów otaczających; zdumieni mieszkańcy, nie wiedzieli, co to znaczy, lecz wkrótce rzecz się im wyjaśniła: ujrzeli pędzącego ku miastu jeźdźca. Trzymał on w jednym ręku czapkę, nad głową wzniesioną, w drugim kopiję, na której ostrzu jakiś papier świecił.

Był to list, znak, że jeździec ze słowem zgody do nich przybywa; dopuścili go przeto Lwowianie do wałów. Kozak zatknął pikę w ziemię i czekał, mieszczanie zdjęli przysłany list i rozłamawszy pieczęć, przeczytali go.... Chmielnicki obiecywał odstąpić od miasta, lecz żądał wzamian, by mu wydani zostali wodzowie z pod Pilawiec, w przeciwnym razie groził miastu, iż szturm ponowi. List ten wszakże nie wywarł oczekiwanego wrażenia, wywołał tylko oburzenie w mieszkańcach Lwowa: odpowiedzieli Chmielnickiemu, iż rycerzy z pod Pilawiec niema we Lwowie, a chociażby i byli, nie wydaliby ich za nic, gdyż dla ocalenia siebie, braci swych nie potrafiliby sprzedać, wydając w ręce wroga. Chmielnicki ponowił przeto szturm. I znowu wdzierali się Kozacy na wały, znowu działa ich rzucały pociski ogniste. Śmierć i spustoszenie szerząc. Lecz miasto broniło się dzielnie i znowu zwątpił ataman, czy tą drogą dojdzie do celu, znowu stanął Kozak z listem pod wałami.... Tym razem Chmielnicki żądał, by mieszkańcy Lwowa żydów mu wydali, zemścić się chciał bowiem na nich. Lecz Lwowianie odpowiedzieli mu:

— Braćmi oni naszymi, synami tej samej ziemi, która i nam matką, nie wydamy ich przeto.

I szturm ponowił się po raz trzeci, lecz znowu bezskutecznie: miłość ojczyzny spokojnych mieszczan w bohaterów przemieniła.

Następnego dnia Chmielnicki wysłał trzeci list: tym razem tylko pieniędzy żądał, 200.000 dukatów. Milsze było Lwowianom życie ich, ich synów i braci, ich matek, sióstr i córek, niż pieniądz, więc tym razem kilku obywateli miasta: konsul Wachłowicz, ławnik Kuszewicz, oraz inni udali się do obozu Chmielnickiego, by się z nim porozumieć.

Dowiedziawszy się o ich przybyciu, Chmielnicki wyszedł naprzeciw, starszyzną otoczony, przybrany w szaty świąteczne, trzymając w ręku złocistą buławę, drogimi kamieniami wysadzaną.

Zaprosiwszy posłów do namiotu, kazał ucztę zastawić, po której przystąpiono do układów. Ataman przyrzekł solennie, że jeżeli otrzyma żądany okup, to się cofnie z pod Lwowa.

I złożyło miasto żadaną sumę. Kto nie miał pieniędzy, ten dawał, co było w jego domu lub sklepie: suknie, sprzęty, kosztowności, różne towary, różne produkta spożywcze. Kozacy wszystko przyjmowali. Zabrawszy pieniądze i rzeczy, Chmielnicki cofnął się w istocie z pod miasta Lwowa. Tak więc mieszczanie sami obronili swój gród, a dni tych walk i poświęceń stanowią piękną kartę historii dziejów naszych czcystych.

Teresa Jadwiga.



Hej, polecę na zagony!

Hej, polecę na zagony,
Tam, do mych rodzinnych gniazd!
Coś mnie ciągnie w moje strony,
Do mych lubych, do mych gwiazd!...

Tam zostało życie młode, —
Mej młodości wiosny szal, —
Tam dostanę za nagrodę, —
Swoją gwiazdkę będę miał...

Wróć, wróć, wróć marzeń czasy,
Młodociąny życia kwiat!
Tam me niwy, tam me lasy,
Tam mych marzeń cały świat...

W. Zawada.



POGADANKA NAUKOWA.

K r e t.

Ci, którzy bają, że kret jest zwierzęciem szkodliwym, i którzy go dlatego łapią i zabijają, okazują, że wcale nie znają własności i sposobu życia tego użytecznego zwierzątka. Wiele zwierząt najpożyteczniejszych wytipiają ludzie najnierozumniej z grubej niewiedomości, dla śmiesznych zabobonów i przesądów, przypisując im własności, których one nietylko nie mają, ale nawet nie mogą mieć. To samo dzieje się z kretami. Przypisują im rozmaite szkody, których one ani nie robią, ani nie mogą robić.

Tak przywidziało się jednemu, że krety szkodzą zasiewom, rozsądzie warzyw i drzewkom, podgryzając korzenie. Dzieją się wprawdzie te szkody, ale nie przez krety, jeno przez tak zwane polniki. Są to zwierzątka tylko futerkiem do kretów podobne, zresztą bardzo od nich różne. Krety bowiem mają ryjaczki, polniki krótkie pyszczki; krety mają ogonek krótki, polniki dwa do trzech razy dłuższy, niż krety: łapki przednie u polników są takie, jak u myszy, a więc całkiem odmienne od łapki kreta; krety żywią się najwięcej owadami, polniki tylko roślinami.

Zresztą dawno się o tem i dobrze przekonano, że kret prędzej umrze z głodu, nimby się tknął rośliny, bo ani zęby jego nie są urządzone do gryzienia, ani żołądek do trawienia pokarmu roślinnego.

A więc nie krety są przyczyną usychania roślin, lecz polniki i myszy; owszem kret naprawia te szkody zagryzaniem każdej myszy i każdego polnika, gdziekolwiek je spotka, i zjadaniem młodych myszy, jeżeli ryjąc, napadnie na ich gniazdo

Innym zdaje się znowu, że kret dlatego szkodzi roślinom, że ryjąc, rusza je. Gdyby to było prawdą, toczy należało zaniechać plewienia, okopywania, oborywania i tym podobnych robót, bo przez nie rośliny daleko mocniej bywają poruszane, niż przez rycie kreta. Niewiele trzeba na to rozumu, że tak małe zwierzę, jak kret, ryjąc głęboko, daleko mniej porusza rośliny, aniżeli to czyni sam człowiek przy wrywaniu chwastów wraz z ziemią z wierzchu, przy okopywaniu motyką lub przy oborywaniu pługiem. Człowiek czyści z chwastów pole lub ogród z wierzchu, a ruszaniem, okopywaniem, oborywaniem przyczynia się do bujniejszego i prędszego rośnienia roślin, które uprawia; kret zaś dopomaga nader pożytecznie przy tej robocie, wybierając spod spodu szkodliwe robactwo. Robi on więc to, czego by człowiek nie zdołał uczynić.

Niektórzy mówią, że kret robi szkody sypaniem kupek wrytej ziemi. Ci, co to mówią, powinni się pierwej zastanowić, dlaczego gospodarze albo ogrodnicy, gdy chcą mieć piękną trawę, rozwożą na wiosnę po łąkach i trawnikach miałką ziemię, błoto z dróg zgarnywane lub stawarkę, rozgrabując ją po wierzchu? Robią oni to dlatego, iż ziemia miałka po wierzchu rozrzucona zastępuje nawóz i użyźnia wyjałowioną łąkę lub trawnik. Jeżeli tedy kret wyrzuca tu i ówdzie kupkami miałką z pod spodu ziemię, tem on łąkom i trawnikom wcale nie szkodzi, owszem przyczynia się do ich użyźnienia. Jednak jak kupki nawozu, stawarki lub innej ziemi nie zostawiają się tak, jak je z wozu lub z taczek złożono, lecz rozrzucają się jak najdrobniej, — tak nie trzeba też być leniwym i zostawiać kretowiny, aż obrósną trawą, owszem, należy je zaraz rozgrabować.

Inni znowu mówią, że krety przedziurawiają groble koło stawów i młynówek i tym sposobem ułatwiają wodzie przerywanie grobli. I to bajka. Polniki bowiem i szczury wędrowne lubią przebywać w pobliżu wód, bo się tam łatwo wyżywiają, i one to kopią nory w brzegach i groblach koło stawów i młynówek, a nie krety.

Prócz tego staje się kret i przez to bardzo użyteczny, że nory, o z niego opuszczone, zajmują inne zwierzęta, zarówno użyteczne, jak on sam, tępiące owady i myszy, jak i on, to jest ślepuszonki, częstokroć i trzmiele, a kretowiny przerabiają sobie na mieszkanie mrówki, mianowicie kretowiny położone po brzegach lasów i łąk leśnych czyli polan.

koło płotów i w tym podobnych miejscach. A mrówki, których pilność i skrzętność od niepamiętnych czasów stawiano człowiekowi za wzór, o których i Salomon w przypowieściach swoich napisał: »Idź do mrówki, o leniwcze, przypatruj się drogom jej, a ucz się mądrości«, są to bardzo użyteczne zwierzątka, bo wyteplają glisty, gąsienice i robaki. Jeżeli zaś gdzie koniczyna dojrzeje, a dobre i obfite wyda nasienie, mamy to po wielkiej części do zawdzięczenia trzmiełom i pszczołom. U nas podobno mało który gospodarz wie o tem, a przecież tak jest.

Kret, żyjąc owadami, nie przebiera wcale między nimi, ale zjada, co mu się nawinie, a przytem jest on bardzo żarłoczny. Przekonano się, że na dobę kret zjada przynajmniej tyle, ile sam waży. Uczyni to w roku blisko do czterdziestu funtów robactwa.

Gdy zatem kret w przeciągu roku zjada niemało owadów, a gdy wszelkie owady, jak to już wiemy, są najżarłoczniejszymi i prawie nienasyconymi zwierzętami, ileżby te owady, gdyby miały spokój, żezały korzeni roślin najpotrzebniejszych dla człowieka i jego dobytku, niszcząc zarazem te rośliny! Weźmy na uwagę, że np. chrabąszcz tylko kilka tygodni żyje, a jeżeli tego owadu dużo, obżera on ze szczętem całe sady i gaje. A teraz pomyślmy sobie, że pędrak, z którego właśnie powstaje chrabąszcz, trzy lata żyje pod ziemią. Ileż on to spustoszy roślin, aż się przemieni w chrabąszcza! A co gorsza, to ten szkaradny owad przegryza nawet na palec grube korzenie drzew, stając się tym sposobem przyczyną ich chorzenia, a nawet usychania. Przy oraniu zwykle niemało wyorywa się tego paskudnego i szkodliwego robactwa, a wrony, kawki, szpaki, chodząc pilnie po polu i wydziubując je, okazują się także bardzo użytecznymi.

I o tem też wiedzieć należy, że kret nawet podczas zimy nie ustaje w swojej pożytecznej dla człowieka pracy. Kret nie śpi w zimie, jak śpią np. nietoperze i jeże, ale poluje bezustannie za wszelkiem robactwem, co się na zimę kryje do ziemi.

Żeby zaś tem lepiej przekonać się o wielkiej pożyteczności kreta dla każdego rolnika i ogrodnika, przytoczę kilka prawdziwych zdarzeń, okazujących najwidoczniej rzetelną prawdę tego, co powyżej o krecie powiedziano. I tak w Prusiech około miasta Postdam 1856 r. na murawniku, mającym blisko z morgi austriackie, wyschła naraz ze szczętem trawa. Musiano zepsuty trawnik zaorać i zasiać. Przy orce atoli pokazało się, że jedyną przyczyną uschnięcia trawy były pę-

draki, które poobżerały korzenie. Rozumie się, że je kazano zbierać, i otóż nazbierano ich nie mniej i nie więcej, jeno przeszło 10¹/₂ korca, a zatem pięć razy tyle, ileby potrzeba zboża do obsiania dwumorgowego obszaru najlepszej ziemi. A skądże się tam wzięło tyle pędraków? Stąd, że wypłoszono i wylapano krety, wystrzelano wrony i szpaki. Otóż zrozumiały dowód szkodliwych skutków prześladowania pożytecznych zwierząt.

Tam zaś, gdzie się już przekonano o pożyteczności kretów i gdzie te zwierzęta mają spokój, uważano to, że nawet w takie lata, w których chrabąszcze w okolicy w wielkiej pojawiały się ilości i niemałe drzewom wyrządzały szkody, tak jak pędraki łąkom i zasiwowom, wcale niewiele było ani pędraków, ani chrabąszczów, a zatem też szkody od nich nie było wiele. Dlaczego? Juźciż nie dla czego innego, jeno dla kretów, które wyteplęły pędraki ukryte w ziemi. A skoro nie było pędraków, skąd się miały wziąć chrabąszcze? A skoro nie było chrabąszczów, więc nie mnożyły się i pędraki, bo pędraki powstają z jajek, które chrabąszcze znoszą w ziemi.

Na Śląsku spostrzegł zarządca większego gospodarstwa, że na obszarze, obejmującym przeszło 44 morgi i obsianym rzepakiem, naraz z jednej strony rzepak nagle zaczął schnąć. Wnet też odkryto przyczynę tego spustoszenia. Była nią gąsienica ómy, która obsiadłszy w wielkiej ilości korzenie rzepaku, zagrażała zniszczeniem całemu polu. Cóż tedy zrobiono? Kazano czempredziej natłapać za drogie pieniądze kretów, ile ich tylko było można dostać, i porozpuszczano je po zagrożonem polu, i tak uratowano rzepak, a raczej krety go uratowały.

To samo robią w Niemczech utrzymujący szkółki szczepeków owocowych. W takich szkółkach ziemia jest pulchna, a zatem i pędraków i innego szkodliwego robactwa niemało. A jakkolwiek krety nie lubią ryc między korzeniami drzew, mimo to właściciele tych szkółek kupują krety i rozpuszczają je, aby im te zwierzątka choć w części ratowały szczepek. ryjąc naokoło szkółki i w miejscach przystępniejszych dla siebie.

Takich przykładów możnaby przytoczyć dosyć. Dla człowieka rozsądnego i lubiącego się zastanowić nad tem, co czyni, wystarczają one. Uprzedzonego i w głupocie upartego, niestety, trudno nauczyć i przekonać.

Wreszcie gdyby kret gdziekolwiek w ogrodzie, czy na łące miał się komu nie podobać, nic łatwiejszego, jak pozbyć się go bez zabijania, albowiem zabić jednego kreta tyle

znaczy, co ocalić kilka miarek najszkodliwszego robactwa, które prędzej, czy później da się we znaki. Kret, jak w ogóle bardzo wiele zwierząt czworonożnych i ptaków, ma bardzo ostry węch, ułatwiający mu szukanie owadów. Bez niego nie mógłby on nawet żyć, jakimże bowiem sposobem zwietrzyłby ukryte w ziemi robactwo? Mocno a nieprzyjemnie pachnące rzeczy są zatem dobrym i dostatecznym środkiem, aby zmusić kreta do wyniesienia się z pewnego obszaru, gdyby sobie tego ktoś koniecznie życzył. Wystarczy włożyć do nory kreta kilka głów z śledzi, inną jaką rybę martwą lub raka martwego, trochę kwaśnej kapusty zaśmierzdzałej, wlać trochę zepsutej kwaśnicy lub wody, w której moczone stary zepsuty ser, trochę dziegciu lub nafty, a kret ucieknie z pewnością od tych smrodów. Nawet kora z zwyyczajnego bzu czarnego zmięta, tudzież pomięte gałązki czeremchy wetknięte do kretowiny wypłaszają go na długi czas.



Listy do „Zorzy“.

Zarzyce-wielkie. W maju.

Nie mogę przenieść tego na sobie, aby nie podzielić się z »Zorzą« i jej Czytelnikami tem, co mi na myśl przychodzi, więc powiem jakie wspomnienia mi się roją po głowie.

Usiadłszy nad strumykiem, wijącym się między szumiącą olszyną, począłem myśleć o ubiegłych chwilach mojej młodości. Człowiek nie ma, co prawda, nigdy wolnego czasu, prócz tylko w niedzielę. Cały tydzień muszę stać przy warstacie, od rana do póź-

nej nocy, to też czekam tego dnia siódmego z upragnieniem wielkiem. W niedzielę czytuję też »Zorzę«, a przeczytawszy ją raz jeden i drugi, spuściłem posępnie oczy ku ziemi, a w sercu powstał żal, że nie mogę przebywać wśród mądrych, drogich i dobrych ludzi.

Zwróciłem myśl w przeszłość ubiegłą moją, gdy pędziłem dni przy mojej matce ukochanej. Ona mnie jedna kochała i pouczała, jak mam kochać Boga i ludzi.

Ach, Boże! czy miał kto tak dobrą rodzicielkę, jakem ja miał? Tyle miałem od niej przykładów dobrych — gdyż sama nie wiele umiała, a mnie uczyła, jak mogła, jak mam czytać. Zawsze mi też kazywała przynosić książki ze szkoły, a gdy już lepiej czytałem, aż łzy ronila z radości. I jakże o niej nie mieć rzewnych wspomnień?...

A tu i słowik poczyna śpiewać nad szumiącym strumykiem i piosenką swoją wzbudza we mnie serdeczne uczucia, których doświadczałem w młodości, gdy mój jeszcze przy ukochanej matce pędził dni spokojne, zajęty pracą, lub pasaniem bydelka i śpiewał śliczne piosenki o wodzach polskich.

Nie miał człowiek rozkoszy, co prawda, lecz żyłem nadzieją, że pójdę do jakiego terminu, i los mój polepszy się. Aż nareszcie nadeszła ta chwila upragniona. Brat wyszukał mi termin w Krakowie u P. H., stolarza, i teraz pozostaje mi już tylko parę miesięcy do ukończenia mojej praktyki.

Mój Boże, jak teraz ciężko idzie każde rzemiosło! Mamy tyle obcych lichych wyrobów, że my musimy fuszerować swoją pracę i puszczać ją za bezcen, gdyż żyć trzeba — innej porady niema! O, bieda, bieda! niejeden musi szukać chleba u obcych narodów, i tam słuchać nikczemnych słów szwabskich. Ileż to od nas emigruje ludzi do tych hakatystów pruskich?

O, Polsko nasza! kiedyż od ciebie rodacy tak emigrowali, jak teraz, szukając chleba dla swych żon i dzieciak?

Krew się w żyłach ścina na wspomnienie, co się teraz dzieje z naszą Bracią — gdzież Bóg sprawiedliwy, aby sądził ciemniźcicieli naszych? gdzież miłość bliźniego — gdzież przykazania? O, kiedyż zaśpiewamy wspólną pieśń:

Idźmy, ojczyzny synowie!
Wybiła godzina chwały!
Już tyrani na nas wzmowie.
I sztandary ich powiały...
I sztandary ich powiały.

O tak, nie upadajmy pod ciężarem, żyjmy nadzieją, póki nam nie wybije godzina chwały, co daj Boże najprędzej. Co raz nowe nachodzą na mnie myśli — ileż uczuć się mieści w mej duszy, a chciałbym wszystkie wypowiedzieć dla kochanych czytelników »Zorzy« i cieszę się, że i mną kochana »Zorza« nie wzgardzi i przyjmie ode mnie słów parę, skromnych, lecz szczerych.

Bo i jak nie być nam szczerymi jeden dla drugiego, i jak nie pracować jeden nad drugim, nie wlewać sobie w serca chęci do światła, gdy tak ciemno i ciemno wokoło nas? Ta śliczna »Zorza«, która nam poczęła świtać i iskrę oświaty nieść, wiele ma roboty przed sobą. Wy, kochani czytelnicy, zachęcajcie młode pokolenia, aby brały dobre piśmko do rąk i czytywały pilnie, bo kto w młodości nie posieje, ten nie ogląda na stare lata owoców swojej pracy.

Marzę dalej przy rwącym strumyku, szumie drzew, świergocie ptasząt, przy uroczym poranku — marzę, że gdy wszyscy garnąc się pocniemy szczerze do cnoty i oświaty, gdy wszyscy brać pocniemy ze skwapliwością książki do ręki w wolnych chwilach, i zatapiać się w myśli idealne, to praca ta nie pójdzie na marne. Wraz z nadzieją i pracą wzrośnie miłość, równość, i braterstwo w naszym narodzie i nigdy już nie wygaśnie, póki nam tchu stanie. Bronić będziemy praw swoich i dążyć do lepszej przyszłości, a »Zorza« przyświecać nam będzie — póki nie wszędzie gwiazda swobody na czysty horyzont nieba i nie nastąpi dzień swobody. Wtenczas słońce oświeci nam lica tym samym promieniem, co rany osuszało niegdyś naszym braciom, gdy walczyli z wrogami, życie poświęcając za Ojczyznę. I na świętych grobach tych katowanych, wieszanych, mordowanych męczenników wzniesiemy hymn radośny: »Jeszcze Polska nie zginęła«!

Na tem kończę me najszczerze wyrazy, szczerzy i życzliwy

Wincenty Targosz,
Czytelnik »Zorzy«.

p. J. T.



ROZMAITOSCI

Hold pośmiertny zasłudze. Któż nie zna sławnej obrony Częstochowy przed Szwedami? Kto nie słyszał imienia ks. Kordeckiego, przeora ówczesnego, który wielkością własnego ducha potrafił wzbudzić męstwo w sercach rycerzy. Otóż teraz właśnie postawiono mu pomnik w kościele OO. Paulinów na Skalce. Artystka-rzeźbiarka, p. Tola Certowiczówna, wykonała pomnik ks. Augustyna Kordeckiego i ofiarowała go kościołowi na Skalce.

Po nabożeństwie udał się przeor zakonu, ks. Ambroży Federowicz, przed zasłonięty jeszcze czerwonym suknem pomnik, mieszczący się w bocznej ścianie prawej nawy kościoła. Skreślił on postać wielkiego zakonnika-patrjoty, jego miłość Ojczyzny i niezachwianą wiarę, że mimo tak ciężkich przejść, Ojczyzna zginąć nie może i wzywał rodaków, aby, idąc za przykładem obrońcy z Jasnej Góry, tak jak on, mieli wiarę, kochali i walczyli z przeciwnościami, a mimo, że teraz panuje hasło siły przed prawem, osiągną zwycięstwo.

Poczem rozsunięto zasłonę, i oczom zebranych ukazał się pomnik. Na wysokości około 2 metrów, w ścianie nawy wykutą została marmurowa nisza, z której do połowy postaci wychyla się, kuta w białym marmurze, figura ks. Kordeckiego, z krzyżem w wyciągniętej prawicy, w chwili jak gdyby błogosławieństwa. Poniżej, na płaszczyźnie, znajduje się na czerwonym polu srebrny orzeł polski, a poniżej marmurowa tablica z następującym napisem:

„Augustynowi Kordeckiemu — Świętobliwemu przeorowi OO. Paulinów w Częstochowie — Nieustraszonemu stróżowi i obrońcy narodowych świętości, sławnemu pogromcy napaści szwedzkiej w roku 1665.

„Gdy większość narodu zwątpiła, On wierzył, kochał, walczył i zwyciężył“.



Jubileusz wielkiej poetki. Rok bieżący jest rokiem jubileuszowym Marji Konopnickiej. To też znakomita poetka otrzymuje nieustannie dowody uwielbienia i wdzięczności ze strony swego społeczeństwa. Główny jednak obchód w Galicji został oznaczony na drugą połowę września b. r. „Zorza“ będzie więc mogła napisać o tem wszystkim w październikowym dopiero numerze. Dzisiaj więc podaje jeno piosenkę sławnej poetki, aby zadzwoniła, niby srebrny dzwonek, czytelnikom i budziła miłość w ich sercach dla tej, co ukochała ludzi, a zwłaszcza wszystkich cierpiących, takim gorącym, takim bezbrzeżnym współczuciem.

Lud a pisarza polscy. Coraz częściej „księgi trafiają pod strzechy“, a lud wiejski czyta je z zapalem i wdzięczną miłością odpłaca tym, co je piszą. Niedawno oto włościanie wsi Zubrzy pod Lwowem uczcili pięknym obchodem pamięć zmarłego przed kilku laty poety, Kornela Ujejskiego, który tam dzierżawił niegdyś folwark i był dla nich sąsiadem dobrym i miłującym bratem. Szczerem i rzewnem było zwłaszcza przemówienie, które na tym obchodzie wygłosił gospodarz Maślanka na cześć zmarłego poety, miłośnika ludu.

Niemniej wdzięczne serce okazali włościanie w Królestwie Polskiem H. Sienkiewiczowi, gdy ten przybył z Warszawy do Obłęgorka, celem rozejrzenia się w nowej siedzibie i zarządzenia przygotowywanych robót, przed sprowadzeniem swoich zbiorów i ruchomości do pałacu obłęgoreckiego.

Sława wielkiego pisarza przedarła się aż do zagród wieśniaczych, ponieważ cała ludność przydrożnych wiosek Bugaju, Chełmiec i Obłęgorka wyległa na gościniec, aby przywitać nowego dziedzica, bez żadnej zachęty z czyjejkolwiek strony, bo nawet proboszcz chełmiecki, jako chory, nie mógł w powitaniu, zgotowanem przez włościan, uczestniczyć.

Na mostach przy Bugaju włościanie witali znakomitego pisarza chlebem i solą. To samo powtórzyło się na granicy parafji Chełmee, w końcu na groblach wsi Obłęgorek, gdzie 50 wiejskich parobczaków na koniach otoczyło pojazd i doprowadziło Sienkiewicza do dworu. Przy kapliczce, na skrajce nowej objazdowej drogi, służba dworska z włościanami 100 kolonji obłęgoreckich, wzniosła według pomysłu wioskowego rymarza, wyniosły łuk, przystrojony zielonemi wieńcami, na szczycie którego na tle białem widniały cyfry: H. S.

Tam Sienkiewicz zatrzymał się i wysiadł z pojazdu, a jeden ze starych włościan w imieniu współmieszkańców ofiarował mu bochenek chleba i sól z życzeniami błogosławieństwa Bożego na własnej ziemi.

Popularna Historia Polski, ozdobiona 82 ilustracjami, napisał Józef Bałaban, ilustrował Leonard Winterowski. Stron. 164. Cena w oprawie kartonowej 80 halerzy, z przesyłką pocztową rekomendowana, 1 K 15 hal. Adresować należy: Krajowe Towarzystwo zaliczkowe nauczycielskie. Lwów. Ul. Lelewela l. 6. II. piętro.

O książeczce tej, godnej uwagi, „Zorza“ napisze szerzej w dalszym numerze. Teraz tyle tylko, że Szanowny jej autor, p. Józef Bałaban, szczerze i miłujące ma serce dla ludu, więc swoją książeczką starał mu się jak najwięcej korzyści przynieść. To też z pewnością dobremu dziełku nie zabraknie licznych i wdzięcznych czytelników.



Od Administracji.

Wszystkie numera „Zorzy“ z 1900 r., ozdobione licznymi i pięknymi obrazkami, kosztują wraz z przesyłką 20 centów.

Wszystkie numera „Zorzy“ z r. 1901 kosztują z przesyłką 32 centy.



TREŚĆ: Cud na roli. — Jaśków sen. — Adolf Dygasiński. — Skowronki. — Wspomnienie z dni minioych. — Hej, polecę na zagony. — Pogadanka naukowa. — Listy do »Zorzy«. — Rozmaitości.